

XXI NASZA DRUŻYNA

Numer specjalny (2)
LIPIEC 2008

Pismo Środowiska XXI
Warszawskich Drużyn
Harcerskich i Gromad
Zuchowych

11 lipca 1928 roku

w Warszawie urodził się druh Adam Bromke.

Dziś kończy 80 lat.

Z tej okazji

Dostojnemu Jubilatowi

DRUHOWI ADAMOWI

życzymy 121 lat życia w doskonałej kondycji.



Kim jest druh Adam?

Fragmenty wspomnień Adama Bromke –
drużynowego XXI Warszawskiej Drużyny Harcerzy w 1945 roku opisane w
książce „Polak w Świecie” wydanej w 1995 r.

„... Jestem chłopcem z warszawskiej Ochoty. Urodziłem się 11 lipca 1928 roku, jak to zwykle wówczas bywało, w domu, przy ulicy Opaczewskiej. Przyszedłem na świat w bólach, ale i z uśmiechem. Ojciec powiedział mamie jakiś żart, ta roześmiała się i tak zaczęła się moja przygoda z życiem. ...



Foto 1. Kraków 1929 rok.



Foto 2. Warszawa 1942 rok.



Foto 3. 1945 rok

... Po przeniesieniu się na Koszykową rodzice wysłali mnie do Szkoły Towarzystwa im. Ziemi Mazowieckiej przy Klonowej. Rano pędziłem tam ulicą Szucha, ale wracałem już zwykle przez Bagatelę i Aleje Ujazdowskie, gdzie mieścił się wówczas Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych. Wiosną wpadaliśmy z kolegami po drodze do Łazienek. Nosiliśmy granatowe czapki z nausznikami, na wierzchu ozdobione amarantowymi wypustkami. ...

... „Mazowiecka” uchodziła za jedną z najlepszych prywatnych szkół w Warszawie. Miała doskonałych nauczycieli, co zresztą tak naprawdę doceniłem dopiero w późniejszych klasach. Uczęszczała do niej w większości młodzież z rodzin inteligentnych, choć zdarzali się koledzy i z innych klas społecznych, z Górnego Mokotowa i z południowej części Śródmieścia. ...

... Latem 1938 roku spędzałem wakacje z Wojdatami w Redłowie nad Bałtykiem. Objechaliśmy całe polskie wybrzeże i odwiedziliśmy Gdańsk. W mieście Niemcy zachowywali się buńczucznie. Wkrótce przyszły pod adresem Polski formalne niemieckie żądania ustępstw terytorialnych. Beck w słynnym przemówieniu w Sejmie 5 maja 1939 roku, którym zdobył sobie ogromną popularność w kraju, stanowczo je odrzucił. Rząd uważał, że Niemcy nie odważą się nas zaatakować, a jeśli to uczynią, to wspólnie z zachodnimi sojusznikami ich pokonamy. Całe miasto pokryte było plakatami pokazującymi właśnie polskie tanki i piechotę, a nad nimi Łosie, a także popiersie Śmigłego z napisem: „Silni, zvarci, gotowi”. ...

... Na wakacje w lecie 1939 roku wybraliśmy się w Karpaty Wschodnie do Rafajłowej.

... W Warszawie było już pogotowie przeciwlotnicze. W oknach zakładano zaciemniające zasłony, odbywały się próbne alarmy. Początkowo uważałem to za świetną przygodę. Któregoś wieczoru jednak - kiedy rodziców nie było w domu, a ja położyłem się akurat do łóżka – znów zawyły syreny. Przeszła mi wtedy przez głowę myśl: co się stanie, jeśli nie będzie to już tylko próbny alarm, lecz naprawdę zaczną spadać bomby. I ciarki mi przeszły po plecach. ...

... W końcu sierpnia wysłano mnie do willi byłej damy klasowej mojej mamy, , w Izabelinie. 1 września przyjechali do nas taksówką moja mama, pani Muszka Wojdatowa i Leszek w mundurze harcerskim. „Jest wojna - powiedziała mama. - Dzisiaj rano Niemcy zbombardowali Warszawę”. Następnej niedzieli przyjechali oboje rodzice. Na spacerze w lesie ojciec przyłożył ucho do ziemi. „Słychać działa - stwierdził - Niemcy zbliżają się do Warszawy”.

Potem wypadki potoczyły się już szybko. Następnego dnia zjawiły się znów w Izabelinie mama i pani Muszka. Były podenerwowane i wyczerpane. Po drodze nad ich głowami rozegrała się bitwa powietrzna i stracony został polski samolot. Pilot wyskoczył na spadochronie, ale Niemcy ostrzeliwali go z karabinów maszynowych i został ranny. Spadł tuż obok taksówki, więc panie opatrzyły go i odwiozły do najbliższego szpitala. ...

... Wstaliśmy o świcie. Ubrałem się w swój mundur zuchowy, pożegnałem z kanarkiem Maciusiem i wsiałem do dorożki wiozącej nas na Dworzec Wschodni. Przejeżdżając przez most na Wiśle, patrzyłem na oddalający się lewy brzeg miasta i przeczuwałem, że Warszawy takiej, jaką dotąd znałem, już więcej nie zobaczę. Na stacji czekał na nas pociąg przeznaczony do ewakuacji lotnictwa. Była to żółto-niebieska torpeda, w której zajęliśmy przedział na cztery osoby. Rodzice spali na siedząco, a ja rozłożony na podłodze. Zabraliśmy dosyć prowiantu, więc z wyżywieniem nie mieliśmy kłopotu, a na stacjach zaopatrywano nas w wodę. Ale podróż była powolna, wszędzie były pozrywane tory. Atakowały nas też parokrotnie niemieckie bombowce. Maszynista dodawał wtedy pary, a cały pociąg śpiewał dla kurażu wojskowe piosenki. Zatrzymaliśmy się na dłużej w Dęblinie, gdzie zabrała się z nami Szkoła Podchorążych. Potem miniliśmy płonący Lublin. ...

... Po pięciu dniach dotarliśmy do Lwowa. ...

... We Lwowie więc nie mieliśmy już po co siedzieć, wiadomo było, że ojciec tu nie wróci. Trzeba było nam wracać do Warszawy. ...

... Przejazd ze Lwowa do Warszawy nie był jednak wcale taki prosty. Trzeba było przejść nielegalnie granicę do niemieckiej strefy okupacyjnej. Podobno najłatwiej można było to zrobić pod Małkinią. Opuściliśmy więc Lwów i zaczęliśmy się przebijać w tym kierunku. ...

... Na Dworzec Wschodni przyjechaliśmy wczesnym popołudniem i wzięliśmy dorożkę na Koszykową. Kiedy skręcaliśmy z Alei Ujazdowskich, na naszej ulicy wszystko wydawało się być normalne. Ale gdy stanęliśmy przed naszym domem, spojrzały na nas wypalone żrenice okien. Był to wówczas jedyny dom w tym rejonie, który spłonął od niemieckiej bomby (reszta przepadła dopiero podczas Powstania). Mama stała w dorożce, patrząc osłupiałym wzrokiem. Byłem przerażony, ale starałem się zachować jak mężczyzna: „Nie martw się, mamusiu - powiedziałem. - Kiedy tatuś wróci, to ci kupi jeszcze lepsze meble”. Mama zapamiętała mi to na zawsze. ...

... W tym czasie coraz bardziej odczuwaliśmy ciężar okupacji niemieckiej. W grudniu przyszła wiadomość o rzezi w Wawrze. Wczesną wiosną zaczęły się masowe aresztowania wśród inteligencji, którą rozstrzeliwano w pobliskich Palmirach bądź wywożono do obozów koncentracyjnych. Pojawiły się złowrogie nazwy „Oświęcim” i „Mautausen”. Żydów zmuszono do noszenia na rękawach białych opasek z niebieską Gwiazdą Dawida. ...

... Nasza sytuacja zresztą też była bardzo trudna. Początkowo mama wyprzedawała biżuterię, ale wkrótce została jej już tylko ślubna obrączka i zrobiło się zupełnie krucho. Koczowaliśmy po wynajętych pokojach po parę miesięcy tu i tam. Często w domu do jedzenia był tylko kartkowy chleb i śmierdzący ser zwany „szarotką”. Któregoś dnia stanąłem przed wystawą sklepu spożywczego na Mokotowskiej, patrząc z zazdrością na rozłożone tam frykasy. Kiedy wróciłem do domu, oświadczyłem mamie, że rozumiem już teraz komunistów: „To jest niesprawiedliwe - oświadczyłem - że kiedy inni tak się obżerają, my chodzimy głodni”. Mama nic nie odpowiedziała i zaczęła płakać. Krewni pomagali nam trochę, ale, jak to bywa w rodzinach, byli kapryśni. Często więcej serca okazywali nam dawni przyjaciele rodziców czy nawet nieznajomi. Działała już również konspiracyjna opieka społeczna. W ten sposób mama wyrobiła sobie - podając, że ojciec rzekomo „zginął” w 1939 roku - rentę wdowią. A następnie na tej samej podstawie

uzyskała skromny monopol tytoniowy. Nie było to wiele - renta zaledwie starczyła na mieszkanie, a pieniądze ze sprzedaży papierosów na moją naukę. My naturalnie wiedzieliśmy, że ojciec żyje, że przedostał się z Francji do Anglii. Pisywał do nas przez neutralną Portugalię i przysyłał paczki żywnościowe, co stanowiło znaczną pomoc. Wiadomości od niego były jednak rzadkie i oczywiście cenzurowane. Ostatni list, jaki otrzymaliśmy od niego w czasie wojny, pochodził z lipca 1943 roku....

... Hitlerowscy okupanci pozwalali Polakom jedynie na siedmioklasowe wykształcenie ogólne. Przez pierwsze dwa lata wojny chodziłem więc do oficjalnej szkoły. Niemcy wyrzucili nas z budynku przy Klonowej, ale przygarnęła nas pensja Roszkowskiej-Popielewskiej mieszcząca się przy Placu Unii. Lekcje odbywały się po południu. Byliśmy ogonem Kolumbów urodzonych w latach dwudziestych. A jednak, kiedy patrzę na nasze zdjęcie z VII klasy - a mieliśmy wtedy po dwanaście, trzynaście lat - to widzę kolegów, którzy wkrótce zginęli na Pawiaku, w obozach koncentracyjnych i w Powstaniu.



Foto 4. Zdjęcie klasowe z roku szkolnego 1938/1939. Zdjęcie to udostępnił dh Zbigniew Martyński. Wśród uczniów jest i dh Adam Bromke i dh Zbigniew Martyński

Już od jesieni 1939 roku świadom byłem istnienia w kraju ruchu oporu. Na murach pojawiały się hasła antyniemieckie, coraz więcej było podziemnych gazetek. W rozmowach towarzyskich komentowano co bardziej spektakularne akty sabotażu i odwetu na hitlerowcach. ...

... Oczywiście i ja marzyłem, aby móc w tej walce uczestniczyć. Moje pierwsze „konspiracyjne” doświadczenie datuje się jeszcze z wiosny 1940 roku. Założyliśmy wtedy - wspólnie z moimi dwoma kolegami z szóstej klasy: Januszem Preyssem i Andrzejem Sztosem - własną organizację podziemną. Nie pamiętam już, jak się nazywała - pewno jakiś Związek Młodych Polaków czy coś w tym rodzaju. Spisaliśmy odpowiedni dokument i, włożywszy go w metalową puszkę od mydła do golenia, uroczyście zakopaliśmy w piwnicy u Andrzeja. Miała to być organizacja bojowa, więc uzbroiliśmy się w drewniane pałki, spiłowane z nóg jakiegoś starego stoliczka, który akurat mieliśmy

pod ręką. Niestety organizacja ta nie zrobiła kariery w podziemiu. Generał Sikorski nie przysłał nam emisariusza, aby podłączyć się do ZWZ!

W październiku 1942 roku zacząłem jednak już konspirować na serio. Zjawił się u mnie prymas naszej klasy, Zbyszek Martyński, z poważną miną. Zapytał, czy chciałbym wstąpić do podziemnego harcerstwa - do naszej szkolnej XXI Warszawskiej Drużyny Harcerzy. Odpowiedziałem naturalnie, że tak. Następnego dnia udałem się do jego mieszkania przy Marszałkowskiej ..., gdzie zaprzysiągł mnie starszy o dwa lata kolega, Stefan Bogdanowicz (syn naszego szkolnego lekarza). Zdawałem sobie sprawę z wagi i możliwych następstw mojej decyzji. Wiedziałem, że podejmując ją, zamykam ostatecznie swoje dzieciństwo. W wieku czternastu lat znalazłem się w podziemiu czy - jak to się wówczas mówiło - „konspiracji”. Nie ukrywałem tego przed mamą, wiedząc, że sama jest też zaangażowana w tę działalność. Musiałem jej wyjaśnić, co to za organizacja - obawiała się, by nie była komunistyczna. Upewniona, że jest to po prostu dawna drużyna harcerska przy Szkole Mazowieckiej dała mi przyzwolenie. Nie mogła inaczej postąpić, choć ogromnie się o mnie niepokoiła. Jak gdyby ostatecznie sankcjonując swoją decyzję, w grudniu 1942 roku wpisała mi do pamiętnika: „A gdy czoło Twoje przyprószy siwizna, pamiętaj, Synku, że Matka Cię uczyła: Honor i Ojczyzna”. Może to dziś brzmieć patetycznie, ale wówczas wiernie odzwierciedlało nasze nastroje.

XXI Warszawska Drużyna Harcerska była zresztą nie byle jaką drużyną. Powstała w 1913 roku jako warszawska Trójka, ale potem, w wyniku przetasowania hufców zmieniono jej numer. W okresie międzywojennym była jednym z reprezentacyjnych polskich zespołów na międzynarodowych skautowych jamboree. Wstąpiłem do niej w 1938 roku, ale z powodu wieku znalazłem się w gromadzie zuchowej. Tu dorobiłem się dwóch gwiazdek. XXI WDH przetrwała jako jedna z niewielu drużyn w Polsce osiemdziesiąt lat. W jakiś sposób przyczyniłem się do tego, ale o tym później.

Dwudziestka jedynka została odtworzona w Podziemiu już w październiku 1939 roku. Podłączył ją do konspiracji patron - drużynowy jeszcze sprzed I wojny - mecenas Czesław Jankowski. Stracony został w Palmirach wiosną 1940 roku. Po nim dowództwo wojskowe przejęli kolejno: Przemysław Szudek - pierwszy przedwojenny przyboczny, a kiedy został on uwięziony w obozie koncentracyjnym, obowiązki pełnił drugi przyboczny, Kazik Dziubałtowski. Pracą harcerską kierował najpierw Jurek Witting, a kiedy i jego aresztowano, Staszek Gromulski. Oddział nasz przyjął nazwę „Żbik” i nie wchodził organizacyjnie do harcerskich Szarych Szeregów ani Hufców Polskich, choć utrzymywał z nimi serdeczne stosunki, lecz podporządkowany został bezpośrednio Armii Krajowej.

Odtworzona w konspiracji drużyna wciąż się rozrastała. W 1941 roku przyjęto czterech chłopców, mających wówczas po piętnaście lat, szkoląc ich na zastępowych. W rok później utworzono cztery zastępy złożone już z harcerzy mojego rocznika. Pierwszy zastęp „Ptaków” sformował Zbyszek Martyński „Sęp”, a dowodził nim Stefan Bogdanowicz „Orzeł”. Drugi zastęp „Drzew” utworzyłem ja, wciągając do niego mojego starego przyjaciela z lat dziecięcej „konspiracji”, Janusza Preyssa, dwóch kolegów z mojej klasy - Romka Gorbaczewskiego i Jurka Strzeszewskiego. A także Jurka Mojkowskiego, syna przyjaciółki mojej mamy z pensji pani Wołowskiej, którego znałem od dzieciństwa. Ja przyjąłem pseudonim „Dąb”.

Naszym zastępowym był Julek Herdin - „Jawor”. Miał on wówczas zaledwie siedemnaście lat, ale był nad wiek dojrzały. Jego ojciec, tak jak mój, przebywał za granicą, a starszy brat zginął w obozie koncentracyjnym. Jego matka początkowo nie chciała wierzyć w śmierć syna, ale Julek nie miał złudzeń. Często chodził smutny i zamyślony. Rozpromienił się dopiero wiosną 1944 roku. Zdał właśnie maturę, a poza tym zwierzył mi się, że jest zakochany. Byłem tym ogromnie przejęty i dumny, że mam już naprawdę dorosłych kolegów. Jego ulubioną piosenką była „Deszcz jesienny” - o młodym

żołnierzyku, który pod zachlapanym tornistrem niósł w świat swoje osiemnaście lat. Z marszu tego Julek już nie wrócił do swojej dziewczyny. Padł pierwszego dnia Powstania.

Wstąpienie do konspiracji zbiegło się w moim życiu z innymi wydarzeniami. Ukończyłem właśnie siedmioklasową szkołę, do której władze okupacyjne dały prawo Polakom w Generalnej Guberni, i zapisałem się na tajne komplety gimnazjalne Szkoły Mazowieckiej. Co to była za wspaniała nauka! Zbieraliśmy się po pięciu - sześciu w prywatnych mieszkaniach, a profesorowie -wymieniając się - krążyli po mieście jak kurierzy, poświęcając nam przeważnie po dwie godziny lekcji. Wymagało to precyzyjnego planowania i musiało kosztować ich mnóstwo wysiłku. Ale rezultaty były znakomite. Zamiast rutynowych lekcji mieliśmy właściwie seminaria, na których istniała sposobność nieskrępowanej wymiany myśli i dyskusji z naszymi pedagogami. ...

... Moim profesorom ze Szkoły Ziemi Mazowieckiej zawsze zostałem wierny. To oni otworzyli mi drogę do późniejszej kariery naukowej. Chapeau bas! ...

... Jesienią 1942 roku zamieszkaliśmy z mamą w oficynie kamieniczki przy Chmielnej 30, gdzie przebywaliśmy do Powstania. ...

... Nasz lokal stał się wkrótce ważnym ośrodkiem konspiracji XXI WDH. Nazywany był „Centralką”. ...

... Pod koniec 1942 roku rozchorowałem się tak strasznie, że niemal nie pożegnałem tego świata. Przed Bożym Narodzeniem złapałem odrę, wyszedłszy z domu na powietrze zbyt wcześnie, dostałem równocześnie zapalenia płuc i wsierdza. Mama stawiała na głowie, aby mnie ratować - na lekarstwa poszła nawet obrączka. Dzięki jej dobrym układom ze światem medycznym zostałem jakoś uratowany....

... Choroba nie przeszkodziła mi w kontynuowaniu nauki i w działalności konspiracyjnej. Kochany Henryk Wąż [wychowawca klasy] przychodził do mnie do domu i udzielał mi prywatnie korepetycji z łaciny. A zbiórki zastępu Julek zwoływał u mnie w domu, z tym, że leżąc w łóżku nie uczestniczyłem oczywiście w musztrze. Przelazłem więc do następnej klasy, a wiosną zdałem w drużynie egzamin na „młodzika”. U Michrowskiego na Nowym Świecie kupiłem sobie krzyż harcera, który - jak to było u nas w fasonie - nosiłem wpięty na pasku od spodni. Mam ten krzyż po dziś dzień, tyle że lilijkę otacza już złoty wieniec Harcerza Rzeczypospolitej. ...

... Właśnie wtedy zostałem wybrany, jako jeden z obiecujących elewów najmłodszego pokolenia drużyny, na kurs zastępowych, zwany „Szkołą Rycerską”. Prowadził go sam „Żbik” - Kazimierz Dziubałtowski, dwudziestoletni wówczas student geografii, podharcemistrz i podchorąży AK. Był znakomitym dowódcą, potrafił z nas wydobyć wszystko, co mieliśmy najlepszego. Niewysoki, raczej krępy, z czarnymi, kręconymi włosami był żywym srebrem. Nazywaliśmy go „Cyk cyk”, co mu się podobało - miał ogromne poczucie humoru. Każda odprawa z nim była przeżyciem, czy to była musztra, śpiew czy wykłady zasad konspiracji lub pełnienia naszych przyszłych funkcji zwiadowczych. Ukończyłem kurs z pierwszą lokatą, zdobywając jednocześnie harcera stopień wywiadowcy.

Z Kazikiem - pomimo istotnej wówczas różnicy wieku - zżyliśmy się bardzo. Wpadał czasem do „Centralki” na pogawędkę. Padł pod koniec Powstania na Mokotowie - przyznano mu pośmiertnie Krzyż Walecznych. Na jednej z odpraw w „Szkołe Rycerskiej” zjawił się inspektor, któremu Kazik meldował nas jako harcermistrzowi. Ten był dwudziestoparoletnim mężczyzną spokojnym i wyważonym w wypowiedziach. Był to podporucznik „Żuk” - Zdzisław Szczepański, w czasie powstania nasz dowódca.

Po ukończeniu kursu w grudniu 1943 roku sformowałem swój własny zastęp. Nazwałem go zastępem „Dębów”. Składał się z trzynasto- i czternastoletnich chłopców, którzy przyjęli pseudonimy: „Konar”, „Pień”, „Sęk” i „Żołądź”. W ich szkolenie włożyłem dużo serca. Doprowadziłem ich do stopnia młodzika w marcu i wywiadowcy -w czerwcu.

Równocześnie sam zdobyłem stopień ćwika. Otrzymaliśmy wyróżnienie za dobrą pracę. Dzieje zastępu „Dębów” są zresztą publicznie dostępne, gdyż wbrew wszelkim zasadom konspiracji prowadziliśmy kronikę naszej działalności. Kupiłem gruby brulion, w którym opisałem naszą pierwszą zbiorczą, następnie poleciłem opisywać kolejno moim chłopcom. Również pięknie je ilustrowali, szczególnie „Pień” - Zygmunt Hübner, późniejszy znany reżyser, który miał talent rysunkowy.



Foto 5. Kronika życia zastępu Dębów



Foto 6. Karty z Kroniki – Zbiórka piętnasta.

... W początkach 1944 roku podjąłem również, obok działalności harcerskiej, służbę wojskową. Przyjąłem pseudonim „Karski”. Zostałem kanonierem w II Harcerskiej Baterii Artylerii Przeciwlotniczej „Żbik”, złożonej głównie z naszych chłopców. Założeniem było, że podczas Powstania mamy zdobyć na Dworcu Głównym niemieckie działa przeciwlotnicze [...] i bronić nas od nalotów. Na razie z braku dział, szkolenie miało charakter czysto teoretyczny. Mielśmy wprawdzie do dyspozycji niemieckie skrypty dotyczące ich obsługi, ale za lunę służyła nam szczotka do sprzątania, a za celownik okrągła pokrywka pudełka od setki papierosów „Mewa”. Zapewne, gdybyśmy działa zdobyli, to byśmy jakoś sobie z nimi dali radę. Nie zdobyliśmy jednak, gdyż w czasie Powstania Niemcy obronili Dworzec Główny i na dodatek upatrzone przez nas pelotki obrócili na działa do strzelania naziemnego i nieźle nam z nich dosuwali. ...

... 28 lipca wezwano nas na pierwszy alarm. Zebraliśmy się na Chmielnej, w pobliżu Dworca Głównego w lokalu na poddaszu. Czekwały tam już na nas biało- czerwone opaski z literami AK. ...

... Wczesnym popołudniem następnego dnia [31 lipca] zjawił się na rowerze Staszek Gromulski i oświadczył: „Dziś zaczynamy”. U was jest punkt zborny części naszego plutonu, skąd trzeba go będzie przerzucić do całości baterii przez Marszałkowską na Chmielną 61. ...”

Na tym kończę cytowanie wspomnień JUBILATA. Wszystkich zainteresowanych losami Druha Adama Bromke zapraszam do lektury książki „Polak w świecie”. Zapewniam, że losy te warto poznać. Od 20 lat dh Adam mieszka w Polsce. Wraz z dh Zbigniewem Martyńskim odwiedziliśmy Go w maju 2008 roku. Rozmowa nasza trwała ponad 3 godziny. Wspomnienia przeplatały się ze sprawami bieżącymi. Druh Adam nie jest srogim profesorem politologiem i historykiem – mimo, że jest znany na całym świecie.

Jest bardzo sympatycznym DRUHEM z 21 WDH, o której mówi z pewnym rozrzewnieniem.

Jan Wawszczyk



Foto 7. Spotkanie trzech drużynowych z 21 WDH. Druh Adam Bromke po prawej, druh Zbigniew Martyński i ja Jan Wawszczyk (robiący to zdjęcie). Maj 2008 roku w Warszawie.

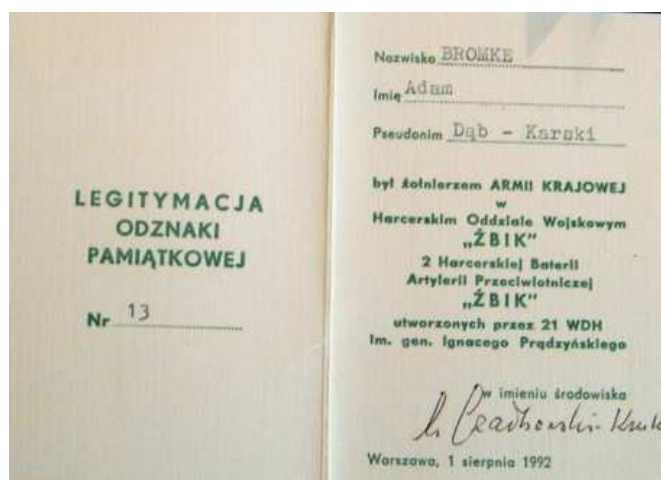


Foto 8. Legitymacja Odznaki Pamiątkowej



Foto 9. Dh Adam Bromke przegląda fotokopię Kroniki Dębów

W czerwcu 1950 roku dh Adam Bromke uzyskał magisterium na Uniwersytecie St. Andrews. Doktorat w maju 1953 roku już na Uniwersytecie w Montrealu. W sierpniu 1958 roku uzyskał obywatelstwo kanadyjskie. W 1960 roku zdał egzamin doktorski z nauk politycznych na Uniwersytecie McGill w Montrealu. W 1963 roku uzyskał tytuł profesora. W 1964 roku został mianowany profesorem nadzwyczajnym a w 1967 zwyczajnym.

Ten numer NASZEJ DRUŻYNY opracował: Jan Wawszczyk